

## **Agnieszka Kołakowska: „Imagine...”: intelektualne źródła poprawności politycznej**

Twierdzić, że poprawność polityczna to tylko język i grzeczność, to tak, jakby twierdzić, że orwellowska nowomowa jest tylko językiem.

**Twierdzić, że poprawność polityczna to tylko język i grzeczność, to tak, jakby twierdzić, że orwellowska nowomowa jest tylko językiem**

**„*Imagine...*”: intelektualne źródła poprawności politycznej[1]**

Spośród wielu popularnych utopijnych wizji najbardziej dziś znaną, najwierniej odzwierciedlającą marzenia i ideały całego pokolenia, a zarazem najbardziej przerażającą, jest ta przedstawiona przez Johna Lennona w przeboju *Imagine*. Jest to bowiem wizja ostatecznego zwycięstwa strażników politycznej poprawności: zwycięstwa ideologii nad zdrowym rozsądkiem i rozumem, nad językiem i historią, nad nauką i nad faktami – nad człowiekiem i wolnością. Innymi słowy, zwycięstwa totalitaryzmu na skalę światową.

Odpowiedzialność za tę wizję ponoszą najrozmaitsi wizjonerzy. Sporo można zwalić na Rousseau. Winą można też obarczyć francuskich utopistów, ideę powszechnych praw człowieka i, rzecz jasna, francuskie oświecenie, zawsze występujące w roli głównego podejrzanego, gdy jest mowa o źródłach totalitaryzmu (i wielu innych plag). Jednak nowa totalitarna mentalność –[MHO1] mentalność poprawności politycznej – więcej zawdzięcza Rousseau, i być może francuskim utopistom, niż duchowi oświecenia. Nie odznacza się wiarą w Rozum ani w potęgę wiedzy; jest na wskroś antyracjonalistyczna, wroga nauce, niechętna wobec badań empirycznych. Owszem, ma ona pewne cechy oświeceniowe lub „gnostyczne”: uniwersalizm, utopijne wizje i przekonanie, że świat można oczyścić ze zła i stworzyć świat nowy, doskonały. Ale nie znajdziemy w niej racjonalizmu. W tej nowej totalitarnej mentalności występują też nowe cechy, przynajmniej na pierwszy rzut oka różne od poprzednich. Rdzeń jest jednak ten sam.

Trafnie ujął to Benjamin Constant w swoich *Principes de politique*[2]. Po „absurdalnej” teorii Rousseau, zgodnie z którą społeczeństwo może sprawować nieograniczoną władzę nad jednostką, przez długi czas wierzono, że „aby lud był wszystkim, jednostka musi być niczym”[3]. Wynika z tego, zauważył Constant, że wolność jest „niczym innym, jak nową formą despotyzmu”. Rządzący lub ci, co władzę sobie uzurpują, „mogą posługiwać się słowem ‘wolność’, by swoje nadużycia usprawiedliwić, ponieważ jest ono, niestety, nieskończenie usłużne”[4]. Ci, co przejęli władzę podczas Rewolucji Francuskiej, osiągnęli to przez „ukrywanie prawdziwych interesów, które nimi kierowały, i przywłaszczanie sobie bezinteresownych na pozór zasad i opinii, które posłużyły im za sztandar”[5]. Zdaniem Constanta idea Rousseau jest odpowiedzialna „za większość przeszkód, z jakimi ustanawianie

wolności się spotykało [...], za gros nadużyć, jakie wkradają się do wszelkich rządów [...] i za większość zbrodni, jakie następują po społecznych konfliktach i politycznych wstrząsach”[6].

Constant przestrzega nie tyle przed tyranią większości, ile przed tyranią, która bezprawnie imię większości sobie przywłaszcza i wykorzystuje demokratyczną retorykę dla własnych celów; przed tyranią, która nie tylko ludzi uciska, lecz głosi, iż są wolni, zmusza ich, by to przyznawali, i utrzymuje, że jej działania wyrażają ich wolę. Wszystko to wydaje się nam niepokojąco znajome. I niepokojące jest nie dlatego, że jest znajome z czasów Związku Sowieckiego, lecz dlatego, że dostrzegamy to samo we współczesnej Europie. Rousseau nie jest może źródłem wszelkiego zła, lecz był on pośrednim źródłem inspiracji dla utopijnych elementów myśli totalitarnej, a zarazem dla politycznie poprawnej myśli pokolenia lat sześćdziesiątych, z których wywodzi się wiele aspektów współczesnej mentalności totalitarnej. Wiele jest tu wspólnych korzeni, a jednym z nich jest właśnie teoria Rousseau.

Przypominam słowa piosenki Johna Lennona: *„Imagine there’s no heaven ... No hell below us. Above us only sky... Imagine all the people living for today... Imagine there’s no countries... Nothing to kill or die for. No religion too... Imagine no possessions... No need for greed or hunger. A brotherhood of man... Imagine all the people Sharing all the world...”* [„Wyobraź sobie, że nie ma nieba... Na dole nie ma piekła, nad nami jest tylko niebo... Wyobraź sobie, że wszyscy ludzie żyją dniem dzisiejszym... że nie ma państw... ani niczego, za co warto zabijać lub umierać. Ani religii... ani własności... Nie ma chciwości ani głodu. Panuje braterstwo...”].

Przyznaję, że wolałabym w ogóle nie wyobrażać sobie wszystkich ludzi naraz. A jeśli już muszę, to wolę pojedynczo, indywidualnie. Nie sposób jednak wyobrazić sobie „wszystkich ludzi” indywidualnie; takie wyobrażanie zakłada postrzeganie ich jako całości, i to abstrakcyjnej – co już samo w sobie ma daleko idące ideowe konsekwencje. A wyobrażanie sobie wszystkich ludzi naraz w takim właśnie utopijnym świecie budzi grozę. Nie dlatego, że wizja świata bez państw i bez religii, bez wartości, za które warto zabijać lub umierać, bez nieba i piekła, bez własności, jest wizją przerażającą. I nie tylko dlatego, że dreszcz przeszywa na myśl o tym, jak – to znaczy za pomocą jakich represji – taką utopię wbrew naturze ludzkiej można by (hipotetycznie) wprowadzić i kto by ją utrzymywał. Wizja ta budzi grozę także dlatego, że zdaje się być szeroko podzielaną aspiracją XXI wieku, szczególnie w nowej Europie.

Co ta wizja ma wspólnego z poprawnością polityczną? Poprawność polityczna wyrosła z tej samej utopii i na tym samym gruncie: amerykańskiego ruchu protestu dzieci-kwiatów lat sześćdziesiątych. Ma wiele wspólnego z innymi ruchami, modami i ideologiami, które też z tej utopii czerpią: między innymi z feminizmem, antyglobalizmem, ekologią i filozofią New Age. Jest tak samo abstrakcyjna i tak samo bezmyślna; wyrasta z tego samego czystego, dziecinnego idealizmu, w którym nie ma cienia ironii; jej zwolennicy tak samo nie zastanawiają się nad możliwością realizacji swoich ideałów, nad ich implikacjami ani praktycznymi skutkami działań, które w imieniu tych ideałów zalecają lub chcą nakazać. Wszystkie wypowiedzi i działania, zakazy, nakazy, zarzuty i mody intelektualne, które określamy jako politycznie poprawne, z tej właśnie wizji czerpią inspirację. Polityczna poprawność wyobraża sobie wszystkich naraz i mówi: wszyscy jesteśmy równi. Pod każdym względem.

Ale, jak to w utopiach bywa, są też równiejsi. Na przykład kobiety. Ale nie wszystkie: tylko poprawnie myślące, o słusznej feministycznej świadomości. Także narody, które nigdy niczego nie osiągnęły, ale za to nienawidzą zachodnich wartości. (Nie wolno mówić, jak to zrobił Saul Bellow kilka lat temu podczas wykładu na Harvardzie, że Zulusi nigdy nie wydali pisarza na miarę Dostojewskiego. Trzeba mówić, że Zulusi mają własne, o wiele lepsze tradycje, a poza tym Dostojewski jest białym samcem i już choćby z tego powodu zasługuje na potępienie.) Także analfabeci. Nie ma głupich; są tylko mądrzy inaczej. Każdy ma własną prawdę, tak samo ważną jak każda inna (choć niektóre są ważniejsze) i ukształtowaną przez to, kim jest. Czegóż takiego jak prawda obiektywna nie ma; jest to pojęcie autorytarne, wymyślone i narzucone przez zachodnią cywilizację w celu zniewolenia „słabszych”.

Każdy ma prawo do wyższych studiów, zwłaszcza jeśli jest niepiśmienny i umyślowo upośledzony. A jeśli do tego jest czarną lesbijką, zasługuje na katedrę. Każda szkoła (zwłaszcza w Anglii) powinna prowadzić specjalne zajęcia dla dzieci, które mają trudności z pisaniem, czytaniem, skupianiem się, niekradzeniem, nieprzynoszeniem do szkoły broni palnej i nieatakowaniem nauczycieli. Dziećmi, które takich trudności nie mają, będzie można ewentualnie się zająć, jak znajdą się na to czas i pieniądze. Każda szkoła powinna prowadzić też lekcje po arabsku i w *suahili*, bo nie wolno, broń Boże, zmuszać dzieci do mówienia językiem kraju, w którym mieszkają: byłby to rasizm, obraza ich godności, negacja wartości ich kultury i ograniczanie ich wolności. Wszystkim dzieciom w szkole (ale nie nauczycielom) należy się szacunek i wszystkie mają prawo do autoekspresji, zawsze i wszędzie, ale zwłaszcza na lekcjach.

Egzaminy są metodą represji i wprowadzają niepożądane nierówności, przez co krzewi się „elitaryzm”, a elitaryzm trzeba zwalczać. Fakty nie mają znaczenia.

Wszelkie oznaki religii powinny być w szkołach zabronione (zwłaszcza szopki na Boże Narodzenie), chyba że islamskie, bo islam to religia pokojowa, która słusznie potępia to, co potępić należy, a zwłaszcza wąskie, elitarne, imperialistyczne i rasistowskie wartości zachodniej cywilizacji. Wszyscy nielegalni imigranci powinni natychmiast dostać dokumenty, obywatelstwo i prawo głosu, a zwłaszcza prawo do publicznego wyrażania nienawiści wobec kraju, który ich przyjął. Kapitalizm, Ameryka, Izrael, kolonializm, wielki biznes i globalizacja są złem absolutnym, źródłem wszystkich naszych nieszczęść. Każdy ma prawo spełnić wszystkie swoje aspiracje, a najlepiej żądać ich spełnienia od państwa; każdy ma prawo do autoekspresji (lecz nie do wolności słowa); każdego określa jego przynależność do pewnej grupy – seksualnej, społecznej, religijnej, etnicznej; każda taka grupa, jeśli jest mniejszością, ma prawo domagać się od państwa przywilejów. Jedyne rozwiązanie problemów świata – szkół, uniwersytetów, biedy, szpitali, głodu w Trzecim Świecie – to nieustanne i obfite łożenie na nie pieniędzy. Muszą to jednak być fundusze państwowe, z podatków, i nie należy wnikać w to, jaki się z nich robi użytek, zwłaszcza gdy chodzi o Trzeci Świat i dyktatorów, którzy niebywale wprost się troszczą o tych, którymi rządzą, i oczywiście nigdy nie mieli żadnej broni nuklearnej, biologicznej ani chemicznej. Jedyna wojna sprawiedliwa to taka, którą popierają w ONZ przedstawiciele afrykańskich dyktatur marksistowskich, a także Rosja, Francja, Chiny i Syria. Prezydent Bush jest niebezpiecznym półgłówkiem na czele imperialistycznego państwa, które zagraża pokojowi światowemu. Trzeba tępić wszelkie formy rasizmu, a najbardziej Izraelczyków. Źródłem terroryzmu jest

ewidentnie bieda w Trzecim Świecie (której przyczyną jest amerykańska chciwość), ale też Izrael i konflikt na Bliskim Wschodzie. I tak dalej.

Zwolennicy politycznej poprawności głoszą to w szkołach i na uniwersytetach, w debatach politycznych i w parlamentach. Lubią mówić o tolerancji (ale tylko wobec poprawnie myślących) i multikulturalizmie (który ma służyć tylko antyzachodnim kulturom i tępić naszą własną), różnorodności (jak wyżej), sprawiedliwości (ale tylko społecznej), świadomości (ale tylko społecznej), sumieniu (ale tylko społecznym), prawach jednostki (ale nigdy o obowiązkach), o demokracji (która znaczy tyle, co prawa jednostki, zwłaszcza prawa jednostek należących do pewnych grup), o dialogu (zawsze „pokojowym”, zwłaszcza z Arafatem i Saddamem Hussajnem). Mówią o tym wszystkim w imię utopijnej wizji, w której nie ma biedy, wszyscy są równi i wolni, nieskrępowani historią, tradycją ani religią. W praktyce przekłada się to na nietolerancję, ignorancję, nienawiść, pogardę, zawiść, ograniczenie wolności i cenzurę.

Kilka uściśleń. Niektóre z wymienionych tu i poniżej poglądów i sposobów myślenia są skrajne i uznawane tylko przez fanatycznych ideologów politycznej poprawności; nie mogłyby chyba istnieć w izolacji od całej reszty. Inne są bardziej rozpowszechnione, a nawet *de rigueur* wśród lewicowych elit, i jak najbardziej mogą istnieć w izolacji. Można na przykład szczerze nie cierpieć Busha albo Szarona, szczerze popierać palestyńskie roszczenia do własnego państwa, a nawet święcie wierzyć, że dzieci w Iraku umierają wskutek zachodniego embarga – a nie dlatego, że wszystkie humanitarne dary lekarstw i żywności rozkrada Saddam Hussajn – i nie wierzyć w całą resztę. I można być przy tym wszystkim równie dobrze na lewicy, jak na prawicy. Można,

nie będąc wyznawcą poprawności politycznej, wyznawać poszczególne poglądy, które wchodzą w skład ideologii politycznej poprawności. Można je wyznawać szczerze, w sposób przemyślany; albo bezmyślnie, z naiwności, ulegając propagandzie; albo ze snobizmu czy z konformizmu, czy z chęci bycia modnym itd. Można też, wyznając je, nie być świadomym, że poglądy te są politycznie poprawne.

Nie sugeruję też bynajmniej, że wszystkie bez wyjątku poglądy, które do tej ideologii należą, są z konieczności czy z definicji fałszywe. Stwierdzam jedynie, iż są one jej częścią.

Wyobrażanie sobie wszystkich ludzi naraz jest notorycznie jednym z ulubionych zajęć liberałów (w sensie amerykańskim, społeczno-politycznym). Upodobanie to mogłoby nawet posłużyć jako podstawowa część wstępnej i uproszczonej definicji liberała. Skłonność do takiego wyobrażania płynie z liberalnej wizji natury ludzkiej, która jest wizją ahistoryczną i abstrakcyjną. Liberałowie niejako z definicji wyobrażają sobie wszystkich razem, podczas gdy konserwatyści, których wizja świata i natury ludzkiej jest historyczna, raczej od tego stronią. Można by nawet zaryzykować jeszcze szersze twierdzenie, a mianowicie, że konserwatysta w ogóle nie lubi czegokolwiek sobie wyobrazać – woli odnosić się do tego, co jest i co widzi – podczas gdy liberał bez przerwy coś sobie roi. Jest w tym sporo prawdy, jeśli wolno powiedzieć ogólnie, że myśl liberalna jest abstrakcyjna i uniwersalna, a konserwatywna – praktyczna i indywidualna. Liberalizm z łatwością może się przeobrazić w ideologię; konserwatyzm – z trudem, ponieważ ideologia jest mu z definicji obca.

Poprawność polityczna na wszystkich poziomach – jako cecha poszczególnych opinii; jako cecha polityki państw w różnych dziedzinach; jako cecha ogólnego światopoglądu; wreszcie jako cecha języka – ma swoje korzenie w myśli i duchu liberalnym, nawet jeśli daleko od nich odbiega, a czasem nawet bywa z nimi sprzeczna. Jest rodzajem fetyszyzacji liberalizmu, prowadzącej (niechybnie, jak każda fetyszyzacja) do sprzeniewierzenia się mu. Wywodzi się, jak liberalizm, z wizji egalitarnej, ale w praktyce okazuje się skrajnie nieegalitarna, a także antydemokratyczna. Ma pewien abstrakcyjny model świata, który chciałaby zrealizować; lecz gdy w trosce o los i prawa poszczególnych grup wyróżnia je jako wymagające uprzywilejowanego traktowania – czy tego chcą, czy nie – zapomina o uniwersalizmie, który leży u jej podstaw, wskutek czego postępowanie, jakie chce narzucić, często się kłóci z zasadami modelu, w imię którego rzekomo działa. Zamiast jednoczyć, dzieli i segreguje; wytwarza ogromną liczbę sprzecznych i wzajemnie wrogich partykularnych interesów i poszerza przepaść między nimi, zamiast ją niwelować. Kruszą się wtedy podstawy tego „różnorodnego” i „wielokulturowego” społeczeństwa, które jest rzekomym celem, ponieważ znika wszelka płaszczyzna wzajemnego porozumienia, a wraz z nią możliwość osiągnięcia głoszonych ideałów otwartości i tolerancji. Sprzeczności te są czasem uderzająco podobne do tych, które występują między głoszoną ideologią a praktyką komunizmu.

Jednym z ważniejszych przejawów tej nieegalitarności jest właśnie polityka tożsamości grupowej: „gettoizacja” grup etnicznych w imię ich wolności i godności; nienauczanie ich, w imię „antyrasizmu”, języka kraju, w którym żyją (liczne przykłady w Anglii); selektywne zabranianie religii w szkołach (też w Anglii); tępienie, w imię

„antyelitaryzmu”, szkół, które dzięki dyscyplinie, utrzymaniu autorytetu nauczycieli i tradycyjnym metodom nauczania osiągają dobre wyniki.

Niedawno głośny był przypadek takiej właśnie szkoły (państwowej) w Bretanii: francuscy lewicowi liberałowie (nadal w sensie amerykańskim) głośno protestowali przeciwko jej elitaryzmowi, lecz zarazem – widząc, co się dzieje w poprawniejszych politycznie państwowych szkołach, a prywatne szkoły tępiąc z zasady – po cichu zapisywali do niej swoje dzieci. Są to znamienne dla poprawności politycznej przykłady odbierania wolności i szans w imię wolności i „praw”. Przykładem jest też domaganie się specjalnych praw i przywilejów dla poszczególnych grup etnicznych w imię krzywd, jakie kiedyś w przeszłości im wyrządzono. Sprzeczność z liberalizmem jest pozorna o tyle, o ile wszystkie powyższe postawy i działania, choć kłócą się z liberalnymi zasadami, są w jakimś sensie zgodne z liberalnym sumieniem, które chełpi się, że jest wyjątkowo wrażliwe na ludzkie nieszczęścia. Z kolei przekonanie o unikalnej wrażliwości liberalnego sumienia wzmacnia wśród poprawnych politycznie liberałów skłonność do ignorowania niepożądanych – i nieliberalnych – skutków propagowanej przez nich polityki. Ich rozwiązania problemów świata muszą być słuszne, nawet jeśli przeczą im nauka i doświadczenie – tak samo, jak marksizm-leninizm musiał być uznawany za słuszny przez zwolenników tej ideologii. Współcześni zwolennicy panaceów i utopijnych rozwiązań problemów tego świata uważają, że mają rację z definicji: skoro hołdują utopijnym ideałom, racja musi być po ich stronie. Tych zaś, którzy w to wątpią, traktują jako uosobienie zła. Cechuje ich bolszewickie poczucie wyższości moralnej.

Ważną i równie wyrazistą cechą poprawności politycznej jest całkowita pogarda dla faktów i obojętność wobec praktycznych skutków w działań, których się domaga. Tak więc nie ma znaczenia, że antyglobalizacja na przykład faktycznie utrzymuje Trzeci Świat w biedzie i bezradności, i w imię złoźnego celu uniknięcia „wyzysku” biednych narodów przez bogate nie pozwala na otworzenie rynku dla ich produktów.

„Globalizacja”, jak „kapitalizm”, jest słowem-straszakiem, sloganem łączącym zwolenników poprawności politycznej wszystkich krajów. Podobnie jak kapitalizm, globalizacja nie jest ani ideologią, ani złowrogim spiskiem bogatych przeciwko biednym; nie jest nawet ludzkim wynalazkiem. Jest naturalnym procesem. Potępia się ją jednak jako ideologię, jako „system”, który – jak nieustannie się powtarza – „zwiększa nierówności” i gnębi biednych; widzi się w niej złowieszczy plan narzucony przez szatańskie imperium, by uzyskać kontrolę nad Trzecim Światem i wyzyskiwać żyjących w nim ludzi pracy. W żadnym z argumentów krytykujących globalizację za to, iż prowadzi do nierówności, nie spotkałam się ze wzmianką o tym, że do nierówności prowadzi wolność dążenia do dobrobytu. W Trzecim Świecie ludzie biedni mogą, pracując dla (złowrogich i wyzyskujących ich) międzynarodowych korporacji, zarabiać stawki, które – choć mizerne w porównaniu z zachodnimi – o niebo przewyższają to, co mogliby zarobić w inny sposób. Przeciwnicy „systemu” wolnorynkowego i globalizacji najwyraźniej chcieliby pozbawić ich tych możliwości, lepiej bowiem, żeby pozostali biedni, ale równi, niż żeby powstawały nierówności dzięki bogaceniu się tylko niektórych. Zakłada się najwidoczniej, że brak równości jest sam w sobie czymś gorszym od biedy. Przeciwnicy globalizacji zakładają też, wbrew wszelkim dowodom, że muszą mieć rację, ponieważ są szlachetniejsi –

altruistyczni i hojni, „troszczący się” o biednych i uczestniczący w moralnej walce przeciwko (złym z definicji) międzynarodowym korporacjom – a nie dlatego, że ich hasła mają jakikolwiek związek z rzeczywistością. Organizowane przez nich polowania na czarownice przeciwko tym, którzy odważają się kwestionować przyjętą linię działania, przypominają stalinowskie kampanie przeciwko wrogom postępu i prawicowym odchyleńcom.

Nie ma też dla nich znaczenia, do jakich skutków prowadzi wcielenie w życie modnego hasła „trwałego rozwoju”. W praktyce „trwały rozwój” okazuje się polegać na protekcjonizmie, na utrzymywaniu barier handlowych zamiast ich znoszenia, na uzależnianiu ludzi od jałmużny, pozbawianiu ich samodzielności i możliwości wydobycia się własnymi siłami z biedy, a także na wspieraniu skorumpowanych i niekompetentnych rządów.

Za tym podejściem do świata często kryje się żywiołowa niechęć do rynku – uczucie żywione przez wielu liberałów (nadal w sensie amerykańskim), wszystkich antyglobalistów i zwolenników starych i nowych totalitarnych utopii. Niechęć ta wiąże się z kolei z odmową uznania kilku elementarnych prawd o człowieku: że własna korzyść jest jednym z naturalnych i niedających się wykorzenić motywów ludzkiego działania; że działanie dla własnej korzyści jest działaniem racjonalnym; i że dążenie do osiągnięcia osobistej korzyści raczej wspiera, niż pomniejsza dobro powszechne i ogólny rozwój. Procesy rynkowe uczą odpowiedzialności, dotrzymywania obietnic oraz honorowania umów (ponieważ jest to w interesie każdego) i otwierają przed wszystkimi – zarówno bogatymi, jak biednymi – te same możliwości. Wolny rynek w państwach ubogich wspiera rozwój i wzrost dobrobytu, a także samą demokrację. Wiemy to z doświadczenia.

Jednak liberalne i politycznie poprawne myślenie, podobnie jak dawne myślenie totalitarne, cechuje przekonanie, że skoro procesami rynkowymi kieruje wzgląd na korzyść własną i chciwość, a obie te rzeczy (na ogół utożsamiane) uważane są za zło, to same te procesy muszą być złe. Twierdzi się przy tym, wbrew doświadczeniu, iż rynek pogłębia nierówności, odbiera możliwości i jest źródłem ucisku i wyzysku biednych przez bogatych. A skoro procesy rynkowe są złem, nie mogą prowadzić do niczego dobrego; muszą zatem być poddane ograniczeniom i państwowej regulacji, podobnie jak ludzka skłonność do zabiegania o własną korzyść.

Aksjomatem jest tu założenie, że świat dzieli się na panujących i podporządkowanych, prześladowców i prześladowanych; a zatem, skoro brak naturalnych sposobów zniesienia tych podziałów, gdyż są nieodłącznym elementem naszego świata, trzeba je zlikwidować siłą. Mentalność ta zakłada też, że ludzie biedni nie umieją działać racjonalnie dla własnej korzyści ani wziąć za siebie odpowiedzialności i że nie można tego od nich wymagać; trzeba ich traktować jako bezradnych, a wszelkie przeszkody, jakie stoją na drodze do polepszenia ich bytu, uznać za nieprzewyciężalne bez pomocy państwa. Nie można zatem przyjąć, że otwarcie dla nich rynków i zapewnienie im możliwości swobodnego zabiegania o własne interesy byłoby dla nich korzystne (zwłaszcza, że pozbawiłoby to pracy antyglobalistów i wielu pracowników organizacji pozarządowych. Nie mówiąc już o tym, że kłóciłoby się z interesami zwolenników protekcjonizmu – bo tak naprawdę o obronę partykularnych interesów tu chodzi, niezależnie od marksistowsko-leninowskich wyobrażeń o rynku i naturze człowieka). Pogarda, jaka się za tym kryje, i związana z nią skłonność do infantylizacji ludzi i pozbawiania ich odpowiedzialności, są charakterystyczne zarówno dla starej, jak i dla współczesnej mentalności totalitarnej. Charakterystyczne jest też

przekonanie, że jedynym prawdziwym autorytetem jest państwo i że ono powinno poprzez instrumenty prawne regulować wszystkie sfery życia – zarówno prywatną, jak i publiczną.

Podział świata na dwie klasy – prześladowców i prześladowanych – nie jest czymś nowym. Jest nam dobrze znany, tylko klasy nieco się zmieniły. Polityka oparta na tożsamości grupowej także nie wzięła się znikąd: ma swoje źródło w wizji „wszystkich ludzi” jako abstrakcji, którą następnie dzielimy na segmenty o ściśle określonych rolach i opatrujemy różnymi etykietkami. Jednostki są sprowadzane do tych ról i przez nie definiowane. Każdy członek jakiejś „mniejszości” jest definiowany poprzez nią co do swej istoty. W „starym” totalitaryzmie było dokładnie to samo, zmieniła się tylko podstawa tożsamości: klasę zastąpiła rasa lub płeć. Robotników, chłopów, kułaków i burżuazję zastąpiły kobiety, czarni i homoseksualiści.

Inne wspólne dla starej i współczesnej mentalności totalitarnej przekonanie, związane z potępieniem rynku i kapitalizmu jako zła, to przekonanie, że dobrobyt jest grą o sumie zerowej: że bogaci wzbogacają się kosztem biednych i że gdyby tylko udało się ich skłonić (lub zmusić) do oddania części majątku, los biednych by się poprawił. Logika redystrybucji, zrodzona z ideologii i zawiści, zawsze leżała w samym sercu mętnego myślenia lewicy. Teraz stała się również, wbrew zdrowemu rozsądkowi i doświadczeniu, milczącym założeniem polityki europejskich przywódców, zarówno lewicy, jak centroprawicy. I kwestionowanie tej logiki stało się tabu.

Liczne są przykłady tej pogardy dla faktów, jaka cechuje poprawność polityczną, i liczne są sfery życia, które chciałaby opanować. Tak więc nie robi też dla niej różnicy, że nie ma żadnych dowodów na szkodliwe skutki produktów genetycznie modyfikowanych, że ich zakaz (w imię „trwałego rozwoju”) pogłębia biedę w Trzecim Świecie i że pseudonaukowe argumenty o ich szkodliwości są w sposób ewidentny absurdalne[7]; że w imię „antyrasizmu” na lotniskach i gdzie indziej przeszukuje się, w ramach walki z terroryzmem, głównie zakonnice w starszym wieku, broń Boże nie ludzi o wyglądzie arabskim; że w Anglii, cierpiącej na dojmujący brak pielęgniarek i lekarzy, osiemnaście tysięcy kandydatów do pracy w szpitalach będzie musiało przejść badania na AIDS, ponieważ ograniczanie tych badań do ludzi z krajów afrykańskich – a o nich jedynie chodzi – byłoby rasizmem. Mniejsza o to, że szkoły, które prowadzą politycznie poprawną politykę nauczania, produkują analfabetów. Nieważne, że poziom egzaminów maturalnych w zawrotnym tempie spada (bo w imię egalitaryzmu go obniżamy); wbrew faktom twierdzimy, że niebywale wprost wzrósł, i na dowód dumnie przytaczamy stale rosnący procent dzieci, które zdają maturę. Nieważne też, że poziom na uniwersytetach (o którym także mówimy, że się podniósł), wskutek braku przygotowania w szkole, jest na pierwszym roku studiów (w Anglii, we Francji, w Ameryce) mniej więcej taki, jak trzydzieści lat temu w szkole średniej. W imię „szerszego dostępu” do studiów i „relewantności” nauczanych przedmiotów poziom obniżamy niemal do zera i wzrost liczby studentów z (bezwartościowymi wskutek tego) dyplomami uważamy za ogromny sukces. I tak dalej.

Czytałam niedawno artykuł, opisujący raport o nauczaniu geografii w angielskich szkołach. Okazuje się, że głównymi tematami na lekcjach geografii są „środowisko, trwały rozwój i tolerancja kulturowa”;

nauczyciele „mówią uczniom, co powinni myśleć o globalnym ociepleniu i wyczerpaniu zasobów w mniej rozwiniętych krajach przez wielki biznes. Do każdego problemu jest tylko jedno poprawne podejście, innych interpretacji nie ma”; „dzieci uczą się bardzo dużo o zanieczyszczeniu środowiska i wyczerpaniu, ale nic o rzekach i górach, państwach i stolicach ani o tym, co gdzie leży. Pod koniec szkoły średniej dzieci nie umieją na globusie znaleźć Afryki”.

W tym miejscu trudno się oprzeć pokusie zacytowania paru niezwykle trafnych zwrotek z wiersza Janusza Szpotańskiego[8] o postępowych intelektualistach. Toteż, nie starając się nawet jej oprzeć, korzystam z okazji, by je tu przytoczyć:

*Miłością płonąć do abstraktów,*

*Najbardziej nienawidzą faktów,*

*Fakty teoriom bowiem przeczą,*

*A to jest karygodną rzeczą.*

*Kochają Ludzkość i Człowieka,*

*Ale człowieka przez „C” duże –*

*Ideę, która buja w chmurze;*

*Toteż ich żywy człowiek wścieka,*

*Gdyż będąc tej idei cieniem,*

*Zarazem jest jej... wypaczeniem –*

*Empiria bowiem bardzo brudzi*

*Teoretycznych, czystych ludzi.*

A także:

*Ludzkość to całość jak wiadomo,*

*A nie zaś zbiór, gdzie byle homo*

*Może na własną rękę rościć*

*Sobie pretensje do wolności.*

*Za filozofa idąc radą,*

*Nareszcie sobie to uświadom,*

*Że Wolność właśnie tkwi w przymusie*

*I z entuzjazmem poddaj mu się.*

O poprawności politycznej mówi się dużo również w Polsce. Ci, którym zarzuca się jej wyznawanie lub wyznawanie poglądów, które do niej należą, często się oburzają, że jest to jedynie puste hasło, bez żadnej spójnej treści. Twierdzą albo że czegoś takiego w ogóle nie ma, albo że jest to jedynie grzeczny sposób mówienia, a nie ideologia. Twierdzą też, że ludzie, którzy hasłem tym się posługują, postępują nieuczciwie: że używają go jako wyzwiska, by potępić wszystko, co im się z takich czy innych powodów nie podoba.

Owszem, w pewnym sensie mają rację. Nie da się ukryć, że katalog przykładów poprawności politycznej, jakie tu przytoczyłam, jest także litanią wszystkiego, czego najbardziej nie lubię. (Co oczywiście zachęca do pisania, bo któż by zrezygnował z przyjemności spisania takiego katalogu?) I gdyby były to rzeczy takie jak, powiedzmy, nielubienie krewetek, kiełbasy, kotów albo wakacji nad morzem, nie byłoby żadnego powodu, by kogokolwiek to interesowało – ani powodu, by ktokolwiek uważał taki spis za oburzający. Nie lubię i już; można się zgadzać lub nie. Nie są to jednak rzeczy takie, jak nielubienie krewetek. Ten spis nie jest przypadkowy; jest coś ważnego, co wszystkie te rzeczy

łączy. I awersja do nich – tak jak awersja do komunizmu, faszyzmu, antysemityzmu, rasizmu czy ślepego fanatyzmu – w zasadniczy sposób różni się od awersji do krewetek.

Nie jest to też awersja czysto estetyczna – do sztywnej, absurdalnej nowomowy. Jest to awersja moralna i intelektualna: do mętnego, nieuczciwego myślenia; do wszechobejmujących teorii i generalizacji; do bezmyślnych i zarazem bezwzględnych prób inżynierii ludzkich dusz; do centralizacji, cenzury, dyktatu, zakazów, nakazów i homogenizacji. Przykłady w tym katalogu są przykładami postaw, opinii i działań, których nie lubię, bo mnie obrażają i upokarzają; bo pociągają za sobą zniewolenie i manipulację języka, pogardę dla historii, tradycji i faktów i niszczenie edukacji; bo kryje się za nimi chęć ograniczenia mojej wolności (choć ich zwolennicy twierdzą, że obdarzają mnie niebywałą wręcz wolnością) i narzucenia „jedynie słusznych” poglądów i sposobów myślenia – to wszystko w celu wcielenia w życie jakieś utopijnej, abstrakcyjnej wizji ludzkiego szczęścia, której wszystko ma być podporządkowane i która ma decydować o moim zachowaniu.

Nie lubię ich także przez to, że często są przesiąknięte cynizmem i zakłamaniem. Bo jeśli są, jak powyżej podkreślam, szczerzy i pełni dobrej wiary wyznawcy różnych opinii, które należą do zbioru politycznie poprawnych, jest też wielu, do których pasuje znana parodia tekstu Majakowskiego: „Mówimy: partia, a myślimy: Lenin; mówimy: Lenin, a myślimy: partia; i tak ciągle myślimy jedno, a mówimy drugie.”

Myślę, że gdy mówimy o poprawności politycznej, wszyscy – włącznie z tymi, których o nią oskarżamy – świetnie wiemy, o co chodzi. Prawdą jest jednak, że nie ma dobrej definicji jej treści. Trudno, istotnie, wyodrębnić to, co mają ze sobą wspólnego te najrozmaitsze i niezliczone jej przykłady, które wszyscy bez trudu i bez wahania umiemy podać. Można jednak, i chyba należy, spróbować określić, o co nam chodzi i postarać się wytłumaczyć, dlaczego zjawisko to budzi nieufność. Chciałabym więc podjąć wstępną próbę takiej – bardzo ogólnej – definicji.

Mówiąc o poprawności politycznej, mam na myśli całość tej ideologii, i tych, którzy akceptują pewien zbiór jej podstawowych zasad; nie mam na myśli poszczególnych poglądów ani ludzi, którzy takie czy inne spośród nich wyznają. Należy też zaznaczyć, że poprawność polityczna w Polsce różni się trochę, w szczegółach, od wersji francuskiej, angielskiej czy amerykańskiej (które także różnią się między sobą) i że przykłady, które tutaj podaję, pochodzą głównie z tych ostatnich. Niektóre z nich w Polsce w ogóle nie występują, albo w dużo słabszej formie; inne, odwrotnie, występują głównie w Polsce, rzadziej czy słabiej gdzie indziej. Powrócę na końcu do tej różnicy. Istnieje jednak podstawowy rdzeń poglądów, które ideologię tę definiują.

Wstępna definicja mogłaby brzmieć tak: poprawność polityczna jest ideologią lewicową; egalitarną i antyelitarną; wrogą wobec kultury i wartości Zachodu; dogmatyczną i nietolerancyjną, choć tolerancję głoszącą; totalistyczną – chcącą podporządkować swoim wymogom myślenie we wszystkich dziedzinach życia; opierającą się na abstrakcyjnych zasadach, które górują nad zdrowym rozsądkiem; dzielącą społeczeństwo na grupy, które stają się grupami własnych,

odrębnych interesów; wyróżniającą się pogardą dla ludzi, dla faktów i dla rozumu, a jednocześnie głoszącą jako swój cel sprawiedliwość i dobro ludzkości. Zwrot „polityczna poprawność” pochodzi z Orwella i jest odniesieniem do komunistycznej partyjnej słuszności.

Trudno w tym momencie nie dostrzec pewnych podobieństw do ideologii komunistycznej. Niektóre z nich są, istotnie, uderzające. Jednak widać też ważne różnice, które pozwalają poprawność polityczną wyodrębnić. Najwyraźniejsze z nich to, po pierwsze, innego, nowego rodzaju prześladowani, którym poprawność polityczna ma (rzekomo) służyć. Są to grupy, które poprawność polityczna uznaje za dyskryminowane i marginalizowane (według własnych kryteriów i w swoim własnym, dość osobliwym znaczeniu tych słów), i które podzielają ideologię poprawności politycznej. Z tą selektywnością w naturalny sposób idzie w parze lekceważenie skutków podejmowanych działań, które często okazują się szkodliwe także dla tych, w imieniu których się występuje. Po wtóre, przynależność do takiej czy innej grupy jest traktowana jako podstawowe kryterium tożsamości. Po trzecie, przymus podporządkowania się poprawności politycznej i narzucania jej jest częścią samej ideologii. Innymi słowy: ideologia ta zawiera w sobie metaideologię. Wreszcie poprawność polityczna przeczy własnemu istnieniu – jako ideologia lub *tout court*. Ukrywa sam fakt, że jest ideologią – udając, że chodzi jedynie o kwestię grzeczności językowej i że o żadnej ideologii nie ma mowy. Lis w kurniku? Jaki lis? Nikogo tu nie ma prócz nas, kur.

Twierdzić, że poprawność polityczna to tylko język i grzeczność, to tak, jakby twierdzić, że orwellowska nowomowa jest tylko językiem. I że nazywanie zniewolenia – wolnością, przymusu – wolnym wyborem, kłamstwa – prawdą, opresji – troską, redystrybucji – sprawiedliwością,

hipokryzji – uczciwością, nienawiści do Zachodu – tolerancją, upokarzania i gettoizacji mniejszości etnicznych – multikulturalizmem, antysemityzmu – troską o los Palestyńczyków, protekcjonizmu – troską o Trzeci Świat, zakazów – prawami, obrazy – godnością i ignorancji – wiedzą, to jedynie formy grzecznego wyrażania się. Jest w tym podwójna obłuda. Ci bowiem, którzy sprowadzają poprawność polityczną do języka (zwłaszcza w Polsce; gdzie indziej dzieje się to rzadziej) i bronią jej jako formy grzeczności, zarazem oburzają się, że się z niej szydzi czy ją lekceważą. Lecz jeśli oburzają się z powodu szyderstw i lekceważenia, muszą zakładać, że ich deklaracje, iż tylko o język chodzi, zostały przyjęte. Co przecież było ich celem. Zarazem jednak oburzają się, że nie traktuje się ich poważnie. Jeśli zaś poprawność polityczną traktujemy poważnie, z nieufnością godną niebezpiecznej sprawy, wtedy z kolei skarżą się, żeśmy oszaleli i wpadli w histerię, bo przecież tylko o język chodzi, więc po co tak się gorączkować? Jak zatem mamy ją traktować, jeśli nie wolno ani poważnie, ani niepoważnie? Nie pozostaje – wydawałoby się – nic innego, jak tylko się z nimi zgodzić. I o to właśnie im chodzi.

Podobne pułapki bez wyjścia czyhają w treści poszczególnych poprawnych politycznie poglądów. Tak jest na przykład z politycznie poprawnym stosunkiem do Ameryki – to znaczy, jej potępieniem. Ameryka nie może mieć racji: jeśli odmawia mieszania się w sprawy innych krajów – na przykład w wojny za granicą, które Europa popiera – potępia się ją za arogancję i izolacjonizm; jeśli zaś angażuje się w coś za granicą – na przykład w wojny, których Europa nie popiera – jest to potępiane jako imperialistyczna agresja i ingerencja. Tak też jest z niektórymi podstawowymi wartościami naszej cywilizacji, takimi jak prawda, rozum, nauka, tradycja racjonalizmu. Wszystkie te wartości poprawność polityczna chciałaby podważyć i odrzucić; i nie ma jak się z nią spierać, ponieważ spierać się można tylko na podstawie tego

właśnie, co jest odrzucane: przekonania, że istnieje coś takiego, jak obiektywna prawda. A wiarę w obiektywną prawdę poprawność polityczna potępia jako odwoływanie się do wartości zachodnich. Pojęcie prawdy obiektywnej jest pojęciem autorytarnym, przemocą narzuconym przez zachodnią cywilizację w celu zniewolenia „słabszych”[9].

Poprawność polityczna ma jeszcze jeden poziom „meta”: jej zwolennicy bardzo lubią (podczas wyobrażania sobie wszystkich naraz) odwoływać się do czegoś, co nazywają „liberalnym konsensusem”. Jest to przekonanie, że (a) wszyscy przyzwoici ludzie z podstawową ideologią liberalną się zgadzają, (b) każdy, kto się z nią nie zgadza, jest godzien potępienia, i (c) każdy, kto przeczy, by taka powszechna zgoda istniała, też jest godzien potępienia. Jeśli szukamy zwięzłej definicji poprawności politycznej, może od takiej właśnie należy zacząć: ideologia, która nakazuje wiarę w liberalny konsensus. Wymiar „meta” przejawia się nawet w polityce tożsamości grupowej, podstawowej dla poprawności politycznej: grupy godne poparcia to takie, które akceptują ideologię liberalną.

Do wstępnej definicji poprawności politycznej można więc dorzucić „ideologia zaprzeczająca, że jest ideologią” (czy po prostu: „zaprzeczająca swojemu istnieniu jako ideologia”) i „nakazująca wiarę w liberalny konsensus”.

Inną ważną cechą politycznej poprawności jest przekonanie, że jedynym prawdziwym autorytetem jest państwo i że to ono powinno regulować, poprzez prawo, wszystkie sfery życia, włącznie z rodziną. W Anglii na przykład o mały włos nie przeszła ustawa zabraniająca

rodzicom dawania klapsów swoim dzieciom. Wyznawcy poprawności politycznej wierzą w konieczność ingerencji państwa we wszystkie dziedziny życia i chcieliby za pomocą prawa zabronić tego, co uważają za niesłuszne. Lecz bardzo wiele z tego, co za niesłuszne uważają, uważają za takie nie samo przez się, lecz dlatego, że nie zgadza się z jakimś szerszym, abstrakcyjnym i bardziej podstawowym ideologicznym założeniem. Poprawni politycznie chcieliby zabronić rodzicielskich klapsów nie dlatego, że dzieciom dzieje się krzywda – w końcu mamy już sporo praw zabraniających znęcania się nad dziećmi – lecz dlatego, że chcieliby nie tylko nauczycieli, lecz także rodziców pozbawić autorytetu. Autorytetem bowiem ma być państwo, nie rodzice ani nauczyciele. Jednocześnie zupełnie im nie przeszkadza sprzeczność między skutkami swoich zakazów i nakazów a najbardziej podstawowymi liberalnymi zasadami swojej ideologii.

Ta cecha poprawności politycznej wydaje się konieczna; zatem i ją należy dodać do ogólnej definicji: „ideologia domagająca się maksymalnej interwencji państwa w życie i chcąca każdą sferę życia regulować za pomocą prawa”.

Do pogardy dla ludzi, rozumu i faktów dochodzą obraza i upokorzenie. Polityczna poprawność jest najbardziej obraźliwa i upokarzająca dla członków tych właśnie grup, o których dobro rzekomo się troszczy: mniejszości etniczne, kobiety, homoseksualiści. Członek takiej grupy przestaje być osobą, jednostką; jest utożsamiany z grupą, do której należy. Każdy jest postrzegany „jako” ktoś: jako kobieta, jako czarny, jako homoseksualista. Obrażliwa i upokarzająca jest dla mnie sugestia, że wszystko, co robię, robię „jako” kobieta. Owszem, są rzeczy, które robię „jako” kobieta: należy do nich na przykład noszenie biustonosza. Można też dodać ciążę i rodzenie. Nie należy do nich natomiast

pisanie, czytanie ani myślenie. Wiele kobiet sprzeciwia się takiej klasyfikacji. Jej skutki są dla nich jak najgorsze: książki, które piszą i które zasługują na szacunek, wrzuca się do działu książek grup mniejszościowych. Wiele kobiet sprzeciwia się także sugestii parytetów: nie chcą zasiadać w parlamencie dzięki takiej pomocy (narażającej je między innymi na zarzut, że bez niej by się tam nie dostały) i nie chcą być w życiu publicznym postrzegane „jako” kobiety. Zwolennicy poprawności politycznej podobnie traktują czarnych, homoseksualistów i członków takiej czy innej grupy etnicznej – czy chcą, czy nie chcą być w taki sposób identyfikowani. Zwłaszcza grupom etnicznym dzieje się krzywda, ponieważ odbiera im się, w imię ochrony ich kultury, szansę edukacji, asymilacji i poprawienia swojego losu.

Przekonanie, że wszystko, co robimy, i wszystko, czym jesteśmy, związane jest z naszą płcią, rasą, orientacją seksualną lub przynależnością do jakiejś grupy etnicznej, prócz tego, że jest głęboko obraźliwe, rozbija tę właśnie wizję harmonijnego społeczeństwa i dobra wspólnego, która leży u podstaw ideologii poprawności politycznej. Zamiast ludzi łączyć, rozdziela ich i segreguje; stwarza ogromną ilość partykularnych interesów, wywołując między nimi antagonizmy i wykopując przepaść nie do pokonania. Rozdziera się społeczna i polityczna tkanka; załamują się podstawy tego „różnorodnego” i „wielokulturowego” społeczeństwa, do którego niby dążymy; nie ma już wspólnego gruntu porozumienia. Są tylko poszczególne grupy i ich niezliczone, w nieskończoność mnożące się uprawnienia (ale bez obowiązków). I im więcej takich uprawnień, tym mniej swobód. Ideologia multikulturalizmu, dążąca niby do otwarcia na inne kultury, głosząca „tolerancję” i mówiąca wiecznie o „dialogu”, w rzeczywistości otwarcia, tolerancji i dialogu zabrania: zakłada, że różne kultury nie dają się ze sobą pogodzić i że nie może być między nimi porozumienia. Nakazuje zamknąć się szczelnie w swojej własnej (chyba, że jest to

kultura zachodnia, judeochrześcijańska: tę chce zniszczyć); zatrzasnął drzwi i wyrzucił klucz. Lojalność narodową zastępują lojalności grupowe, etniczne, rasowe, mniejszościowe.

Sądzę, że można i to włączyć w tę próbną definicję: „ideologia uznająca tożsamość grupową za podstawowe kryterium społeczno-politycznego działania”.

Na uniwersytetach, w naukach humanistycznych, dzieje się coś podobnego. Nowe dyscypliny, nowe podejścia i sposoby interpretacji niewątpliwie otworzyły wiele drzwi, odkurzyły i ożywiły skostniałe czasem dziedziny, stworzyły wiele możliwości i – owszem – pomogły kobietom uzyskać akademickie pozycje i uznanie, jakie im się należały. Walka o ideały, które potem stały się częścią poprawności politycznej – jak wczesny feminizm, kiedy jeszcze walczył o uznanie równości kobiet, a nie ich inności; jak ideały socjalizmu, ideały humanitarne i antyrasistowskie – osiągnęła wiele dobrego i przyniosła ogromne korzyści. Ale w końcu ci idealisci, straciwszy wszelki umiar i przeobraziwszy swoje ideały we wszechobejmującą ideologię, zamiast otwierać – coraz bardziej zamykają; zamiast rozszerzać – zawężają; zamiast umożliwiać – zabraniają i wykluczają. I zamknąwszy się w swoim dogmatyzmie i skrajności, w imię otwarcia, pluralizmu i różnorodności rozbijają edukację i humanistykę w ten sam sposób, w jaki rozbijają społeczeństwo. Tworząc nowe dyscypliny i możliwości interpretacyjne, starają się wypierać stare; zamiast wchłaniać je do całości, by ją ulepszyć, rozszerzyć i odnowić, narzucają je wszędzie i odrzucają tradycyjną resztę. Poprawność polityczna, jak w życiu społecznym i politycznym kładzie nacisk na tożsamość grupową, tak też w humanistyce przypisuje tożsamości autora – jego rasie, płci, pochodzeniu – kluczowe znaczenie dla interpretacji jego tekstów. (W

wielkiej mierze i pod wieloma względami popiera też postmodernizm, który kładzie nacisk m. in. właśnie na interpretacje tożsamościowe; można właściwie powiedzieć, że postmodernizm jest częścią ideologii poprawnej politycznie w życiu akademickim.) W rezultacie z nauk humanistycznych nie pozostaje nic poza interesami poszczególnych grup – feministycznymi, homoseksualnymi, etnicznymi – gdzie każdy dogmatycznie strzeże swojej domeny, wywalzonego przez siebie skrawka gruntu. Sporą rolę odgrywa tu dbałość o własny interes: chodzi o utrzymanie pozycji i mnożenie stanowisk. Polityczna poprawność na uniwersytetach stała się rodzajem samonapędzającego się przemysłu. I tutaj też, zamknąwszy drzwi, wyrzuca klucz. W tym wypadku jest to klucz otwierający drogę do obiektywnej nauki, uprawianej z szacunkiem dla prawdy.

Na koniec warto też wspomnieć o tym, że z powodu poprawności politycznej antysemityzm staje się – zwłaszcza w Anglii i we Francji – coraz bardziej akceptowany w „przyzwoitych” lewicowych sferach. Okazuje się bowiem, że jak się bliżej przyjrzeć, wszystkiemu – jednak, jak zwykle – winni są Żydzi, „faszystowski” premier Izraela i w ogóle cały ten „zasrany kraik”, jak niedawno o Izraelu wdzięcznie się wyraził francuski ambasador w Londynie. Ten nowy antysemityzm odwołuje się nie, jak stary, do ideologii rasistowskiej, lecz do... antyfaszyzmu. Pojawiają się porównania Izraela do Trzeciej Rzeszy, gwiazdy Dawida do swastyki. Szaron bywa potępiany jako „faszysta”, Izrael jako kraj „faszystowski”. Ci sami ludzie, których oburzają wszelkie dowcipy „etniczne” (formalnie zabronione jako obraźliwe w myśl poprawności politycznej) i którzy w imię sprawiedliwości i praw człowieka niosą ofiarną pomoc Palestyńczykom, na słynnym zebraniu antyrasistowskim w Durbanie – a także na demonstracjach organizacji antyrasistowskich w Paryżu – krzyczeli: „śmierć Żydom!”.

Świat, jakiego by chcieli zwolennicy poprawności politycznej, ten świat przesiąknięty fałszem i pełen hipokryzji, jest całkowicie sztuczny: sztuczne normy, limity, parytety (w parlamentach, na uniwersytetach); sztuczny język; sztuczna edukacja, nie dająca nic, nie ucząca żadnych faktów i nie wpajająca żadnych wartości; sztuczne zasady moralne, estetyczne, polityczne, społeczne. Jest to świat, który dzieli się na dwie części: na zdominowanych (prześladowanych) i dominujących (prześladujących). Innych nie ma albo są nam obojętni[10]. Według tego schematu są wyznaczone z góry, przez *fiat*, znaczenia słów i wartości, w jakie mamy wierzyć: sprawiedliwość jest albo „społeczna”, albo definiowana przez walkę prześladowanych (która z definicji jest sprawiedliwa); innego rodzaju sprawiedliwości nie ma. Zło to niesprawiedliwość w jednym z dwóch powyższych znaczeń. Moralność sprowadza się do reguł postępowania, które są zgodne z poprawną ideologią. Wspólnej kultury, wspólnych wartości i tradycji, na podstawie których społeczeństwo mogłoby się rozwijać – nie ma i być nie może. Jest tylko nienawiść i pustka.

Jak to się stało, że to, co zaczęło się jako utopijny ruch dzieci-kwiatów, przeobraziło się w ponury i dogmatyczny program reglamentacji społecznej, opartej na interesach poszczególnych grup? Najprostszą i najogólniejszą przyczyną jest to, że b y ł a to właśnie utopia. Nierealistyczna, infantylna, nieumiarkowana, niczym nieograniczona: ani zdrowym rozsądkiem, ani rzeczywistością. Tak chyba jest – z natury rzeczy – z każdą utopią. Będąc czystą ideologią, wizją ogólną i nierealistyczną, bez naturalnych mechanizmów równowagi, łatwo ulegała fetysyzacji, manipulacji i wypaczeniom. I skoro była czymś wbrew naturze, sam pomysł wcielania jej w życie kłócił się z jej istotą, więc wcielać ją można było tylko siłą, na ślepo, na przekór

rzeczywistości i nie zważając na fakt, że skutki tego wcielania były – z konieczności – sprzeczne z jej zasadami. W tym sensie degrengolada była nieuchronna, przewidywalna już od samego początku.

Warto też zauważyć, że infantylizm tej utopii także od początku był jej częścią, jedną z jej charakterystycznych cech: była to ideologia, która nie tylko wymagała ogłupienia, lecz uznawała ogłupienie za coś szlachetnego. Odcięcie się od przeszłości i odmowa czerpania z niej, odrzucenie odpowiedzialności („życie dla teraźniejszości” w piosence Johna Lennona), pogarda dla wiedzy i nauki, odrzucenie wszelkich form, oderwanie się od historii, od zdrowego rozsądku, od wszelkich struktur i granic, jakie narzuca rzeczywistość – wszystko to uchodziło wśród dzieci-kwiatów za coś dobrego, wręcz koniecznego. Widać w tym pewne pokrewieństwo – choć na bardzo prymitywnym poziomie – z Rousseau’owską ideą „szlachetnego dzikusa”.

Nic dziwnego też, że poprawność polityczna stała się dla wielu źródłem korzyści, a w końcu ogromnym przemysłem. Od kiedy zaczęto uprawiać politykę tożsamości grupowej i wcielać ją w życie, skutki były nieuchronne: grupy o własnych interesach kulturowych zawsze będą dążyć do zwiększania swoich wpływów i promowania swoich interesów, politycznych i ekonomicznych. Dla wielu, zwłaszcza w środowisku akademickim, przemysł poprawności politycznej jest po prostu źródłem utrzymania: zapewnia im przywileje, prestiż i stanowiska na uniwersytetach bez żadnej wiedzy ani kwalifikacji, lub dyplomy bez żadnej pracy umysłowej.

Interesowność jest zapewne jedną z przyczyn ogromnych wpływów tej ideologii nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz także w Europie. W Anglii i we Francji dużą rolę odgrywa też wpajane przez polityczną poprawność poczucie winy za kolonializm – poczucie wzmacniane, manipulowane i wykorzystywane przez zainteresowane grupy. Hasło „antykolonializm” jest w ideologii poprawności politycznej podstawowe: jest ono powtarzane bez żadnej historycznej wiedzy i z całkowitą obojętnością co do współmierności prawdziwych krzywd i zarzutów. Polityczna poprawność wyolbrzymia szkody wyrządzone przez kolonializm, ignoruje jego korzyści i domaga się „reparacji” w formie przywilejów dla „wyzyskiwanych”. (Ciekawe są tutaj różnice między Anglią a Francją. We Francji, która w imię wartości republikańskich zawsze starała się mieszkańców kolonii przekształcać we Francuzów, polityka tożsamości grupowej ma o wiele słabsze możliwości zaczepienia niż w Wielkiej Brytanii, która w krajach swojego imperium stworzyła infrastrukturę, ale lokalne zwyczaje i tradycje na ogół zostawiała w spokoju i nie chciała nikogo w nic przekształcać – co można uznać za wyraz szacunku lub pogardy, zależnie od punktu widzenia. Różnice te są ważne, bo pokazują, w jakim stopniu pewne aspekty poprawności politycznej zależą od natury kolonializmu.)

Wpajanie poczucia winy za kolonializm jest częścią ogólniejszego celu, jakim jest przekonanie nas, że wszystko, co kiedykolwiek osiągnęła zachodnia cywilizacja, było nie tylko nic nie warte, lecz ogromnie szkodliwe dla całej reszty świata, którą to resztę zachodnia cywilizacja bezwzględnie przez tysiąclecia niszczyła, zniewalała, ujarzmiała itp. Ostatecznym celem jest – naturalnie – doprowadzenie do wniosku, że

teraz powinna za to płacić – długo i obficie. I gotówką, ma się rozumieć. Lecz także własnym życiem: powinna, przyznawszy się do winy i dokonawszy samokrytyki, pozwolić się zniweczyć.

Państwa – nawet te, w których u władzy są rządy lewicowe i poprawne politycznie – oczywiście bronią się przed finansowymi konsekwencjami takiego bicia się w piersi. Nikt nie ma zamiaru wypłacać trylionów dolarów prawnikom niewolników.[11] Lecz w swojej wewnętrznej społeczno-kulturowej polityce często tym presjom ulegają. Chodzi tu o „dopieszczanie mas” – udawanie, w celu zdobycia głosów i utrzymania się przy władzy, że rząd troszczy się o przeciętnego człowieka i jego prawa – a także o uprawnienia poszczególnych grup (z których każda przecież dysponuje swoim *lobby*). Lecz jest też inna przyczyna, i tkwi ona w naturalnych skłonnościach nowoczesnych państw. Są to skłonności, które z naturą poprawności politycznej świetnie się zgadzają: skłonność do ingerencji w coraz więcej sfer życia prywatnego, do infantylizacji obywateli, uzależniania ich od państwa i odbierania im odpowiedzialności za swoje życie. W miarę, jak rośnie liczba interwencji, nakazów i zakazów, rozwija się też biurokracja, i na odwrót. Biurokracja państwowa (jak każda inna) i poprawność polityczna mają własną siłę napędu i w niektórych dziedzinach siły te w naturalny sposób nawzajem się wspierają.

Z kolei młodzieży ideologia poprawności politycznej podoba się dlatego, że jest łatwa i już spreparowana: to utopia podana jak na tacy, gotowa do włożenia do pieca, odwołująca się do łatwych, chwytliwych haseł. Kto by nie chciał demokracji, sprawiedliwości, tolerancji i pokoju? Kto nie jest przeciwko rasizmowi i faszyzmowi? Myśleć nie

trzeba; wszystko jest już wymyślone. Wiedza historyczna jest zbędna. Wreszcie winna jest też, w pewnym stopniu, po prostu siła przyciągania amerykańskich mód.

W Polsce wszystko to wygląda trochę inaczej. Kolonialnej przeszłości nie ma; nie ma też masowej imigracji z nie-zachodnich krajów ani istotnych mniejszości etnicznych. Grunt dla politycznej poprawności jest o wiele mniej żyzny. Poza tym Polska ma na razie do rozwiązania zbyt wiele własnych problemów. Sprawa izraelsko-palestyńska wydaje się odległa, przeciętnego Polaka chyba nie za bardzo obchodzi. Jest jeszcze za dużo starego antysemityzmu, by zaczął się rozpowszechniać nowy. To wszystko może ją ocali – to, i pamięć czterdziestu lat komunizmu. (Jak odrzekł ksiądz sekretarzowi partii, który narzekał, że nikt nie przychodzi na zebrania partyjne: „Do mnie przychodzą, bo Kościół nie popełnił podstawowego błędu: nie pokazał im tego raju, który od dwóch tysięcy lat obiecuje”. Otóż myśmy ten partyjny raj widzieli.) Na razie polityczna poprawność w Polsce ogranicza się do uniwersytetów. Mamy feminizm, postmodernizm i antyamerykanizm (ale ten ostatni na razie tylko wśród postępowych intelektualistów). W dużym stopniu są to wpływy amerykańskiej i francuskiej mody. Wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej to wszystko może zacząć się zmieniać.

Pozostały dwa pytania. Czym właściwie grozi poprawność polityczna i dlaczego jest ona prawdziwym niebezpieczeństwem? Grozi – mówiąc zarazem zwięźle i łagodnie – ostatecznym wyrzuceniem wspomnianego już klucza. Mówiąc konkretniej i mniej łagodnie, ułatwia ostateczny rozkład naszej cywilizacji. A jest groźbą prawdziwą chociażby dlatego, że politycznie poprawni wiedzą już, iż może się to udać. W końcu komunizm się udał. I widać, zwłaszcza w Anglii, we Francji i w

Ameryce, że w niektórych dziedzinach sporo już udało się dokonać. Widać to także w Unii Europejskiej, której osiągnięcia w dziedzinie centralizacji, cenzury, zakazów, nakazów i homogenizacji, są imponujące.

Lecz czym właściwie jest to, co może im się udać? Przypominam wyniki wstępnej próby definicji: polityczna poprawność jest ideologią lewicową; egalitarną i antyelitarną; wrogą wobec kultury i wartości Zachodu; dogmatyczną i nietolerancyjną, choć tolerancję głoszącą; totalistyczną – chcącą podporządkować swoim wymogom myślenie we wszystkich dziedzinach życia; opierającą się na abstrakcyjnych zasadach, które przeważają nad zdrowym rozsądkiem; dzielącą społeczeństwo na grupy, które dbają jedynie o własne, odrębne interesy; wyróżniającą się pogardą dla ludzi, dla faktów i dla rozumu, a jednocześnie głoszącą sprawiedliwość i dobro ludzkości jako swój cel; przeczącą własnemu istnieniu jako ideologia; nakazującą wiarę w liberalny konsensus; domagającą się maksymalnej interwencji państwa w naszym życiu i chcącą każdą sferę życia regulować za pomocą praw; uznającą tożsamość grupową za podstawowe kryterium w działaniu społeczno-politycznym.

To powinno wystarczyć jako zarys zagrożenia. Można tylko mieć nadzieję, że nie zapomnimy o tym raj, który już widzieliśmy.

*Agnieszka Kołakowska*

*2003*

[1] Podtytuł jest odniesieniem do wczesnej książki Alaina Besançon, *Les Origines Intellectuelles du Leninisme* (1977), którą przy okazji polecam.

[2] Benjamin Constant, *Principes de politique : applicables à tous les gouvernements : version de 1806-1810*[wyd. pol.: Benjamin Constant, *Zasady polityki mające zastosowanie do wszystkich rządów (wersja z lat 1806-1810)*, przeł. Anastazja Dwulit ; wybór Marcin Bąba, Warszawa 2008].

[3] Tamże, 17.1.

[4] Tamże.

[5] Tamże, 1.3.

[6] Tamże.

[7] Na temat GM polecam książki Bjørna Lomborga, *The Skeptical Environmentalist* (Cambridge, 2001) i Alana McHughena, *Pandora's Picnic Basket: the Potential and Hazards of Genetically Modified Foods* (Oxford University Press, 2000)

[8] Janusz Szpotański, *Zebrane utwory poetyckie*, s. 138-140.

[9] Dobrze o tym, i o wielu spokrewnionych zjawiskach, pisze Roger Scruton w swojej ostatniej książce, *“The West and the Rest: Globalisation and the Terrorist Threat”*, 2002.

[10] O tym, i o wielu innych przejawach politycznej poprawności, świetnie pisze Alain Finkielkraut w swojej ostatniej książce, *“L'imparfait du présent”*, Gallimard, 2002.

[11] W tym miejscu trudno się oprzec uwadze, że na konferencji o rasizmie w Durbanie najgłośniejszą domagali się reparacji przedstawiciele afrykańskich państw, w których kwitnie handel niewolnikami. Równie trudno nie zauważyć, że od państw arabskich, które od stuleci ten handel uprawiały – zarówno w Afryce, jak u siebie – i robią to nadal, nikt się reparacji nie domaga.